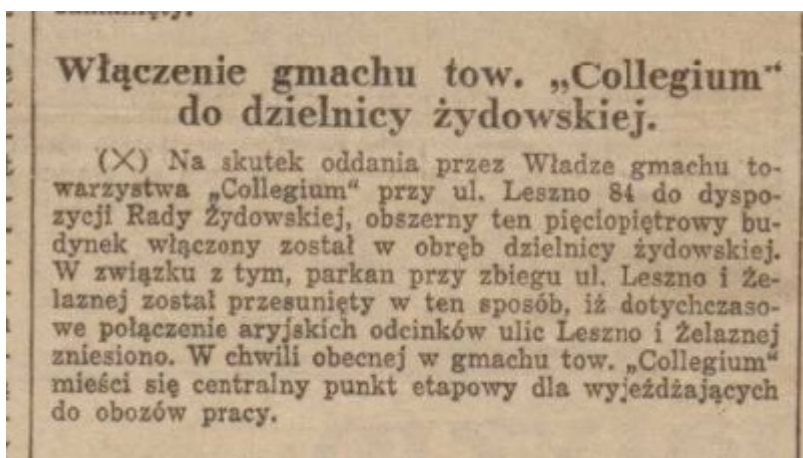


# Dom wariatów

„Na skutek oddania przez Władze gmachu Towarzystwa (Szkoły Średniej) «Collegium» do dyspozycji Rady Żydowskiej, obszerny ten, 5-piętrowy, budynek włączony został w obręb dzielnicy żydowskiej” – donosiła Gazeta Żydowska z 29 kwietnia 1941 r. Kamienica mieściła się na rogu ulic Leszno 84 i Żelaznej 95, i tymczasowo – od połowy kwietnia do pierwszych dni maja 1941 r. – pełniła funkcję centralnego punktu etapowego wysyłanych do obozów pracy. A.(?) Limonad (Zimonad) trafił tam dzień po Pesach (najstarsze święto żydowskie obchodzone na pamiątkę wyzwolenia Izraelitów z niewoli egipskiej; w 1941 r. przypadało na 12-18 kwiecień). W swej relacji „Jak zostałem schwytany na obóz pracy i ocalałem?” napisał: „[To] absolutny dom wariatów. Kilkaset osób zatrzymanych, nikt nic nie wie, zamieszanie, krzyki, rwetes, słowem dzień ostatniego sądu. Tysiące bezsensownych plotek krzyżują się w powietrzu”. Wśród tych szeptów jeden wątek powtarzał się najczęściej. Dla wszystkich brzmiał złowrogo: obóz pracy.

## Fragment Gazety Żydowskiej nr 84 z 29.04.1941



Na terenie Generalnego Gubernatorstwa obozy pracy dla Żydów tworzone były od wiosny 1940 r. W pierwszych miesiącach imienne wezwania do pracy wystawiane były przez Arbeitsamt (Urząd Pracy w Urzędzie Szefa Dystryktu, który zarządzał żydowską siłą roboczą w dystrykcie

warszawskim), i kierowane do mężczyzn niezonałych, w wieku do 35 lat. Nie brakowało tych, którzy na roboty zgłaszali się z własnej woli. Gdy jednak od jesieni 1940 r. do warszawskiego getta zaczęły docierać informacje o niewolniczej pracy, beznadziejnych warunkach i braku żywności, coraz trudniej było zebrać żądany przez Niemców kontyngent robotników. Wiosną 1941 r. było to już niemożliwe. „Na ogólną liczbę 45 000 mężczyzn, którzy winni byli się zgłosić do obozów, 11 000 nie stawiło się” – odnotował Emanuel Ringelblum. Dlatego na początku kwietnia USD przesłał do Judenratu „pismo grożące, że w razie niedostarczenia przez Żydów odpowiednich kontyngentów przerwie się zaopatrywanie getta w żywność, zaś obozy pracy przekształcą się w obozy karne”. Judenrat zarządził obowiązkową rejestrację wszystkich mężczyzn w gettowym Urzędzie Pracy. Liczył, że w ten sposób wymusi na bezrobotnych wyjazd do obozu. Gdy ta metoda nie poskutkowała, zastosował inne – przymusowe – środki.

„Polowania” na mężczyzn rozpoczęły się w połowie kwietnia, a ich symbolem była zakrojona na niespotykaną dotąd skalę akcja poprowadzona 19-21 kwietnia 1941 r. Do „Collegium” zapędzani byli ludzie bez względu na wiek, i niezależnie od tego, czy zostali zarejestrowani jako bezrobotni (z obowiązkiem wyjazdu do pracy w obozie) czy też jako pracujący („uprawnieni” do pobytu w getcie). W maju komunistyczna gazeta „Morgn Fraj” („Wolne jutro”) otwarcie oskarżała Judenrat o hipokryzję: „Lepiej, że pobór do obozów pracy, jak również wysyłka, przechodził przez żydowski filtr, niż gdyby to miała robić tylko władza niemiecka? «Cios nie będzie aż tak bolesny» – pod tym pretekstem członkowie gminy podjęli się dostarczania okupantowi należytą liczbę mężczyzn do obozów katorgi”. Wskazano, kto jest wykonawcą niemieckich rozkazów i sprawcą krzywdy żydowskiej masy: „Może byłoby to słuszne, gdyby ta praca nie była przeprowadzana przez stałych „dostawców” kahału. Jak więc wygląda ten «żydowski filtr», mogliśmy dokładnie zobaczyć w ostatnich dniach. Na rozkaz członków kahału bohaterowie z kijami w purimowych czapeczkach napadali na domy, wypędzali przechodniów na ulicę”. BOWIEM działania służące spełnieniu niemieckich żądań prowadziła Żydowska Służba Porządkowa (ŻSP nazywana też żydowską policją) przy wsparciu polskiej policji (granatowi) i pod nadzorem niemieckiej żandarmerii. Powszechna była wtedy opinia, że Judenrat „specjalnie wysłała do «obozu»” przesiedleńców i gettową biedotę, żeby „w ten sposób się ich pozbyć, by nie byli obciążeniem”.

## Leszno 84 (Referat Gabarytów)



Pomimo, że wśród pokrzywdzonych najliczniejsza była grupa tych najślabszych (współpracownik „Oneg Szabat”, rabin Chitowski, oceniał, że stanowili ok. „90 procent” wysyłanych wtedy do obozów pracy), to tak naprawdę każdy mógł paść ofiarą urządzanych w getcie łapanek. Szczególne ich nasilenie nastąpiło 19-20 kwietnia 1941 r. Chitowskiego polscy i żydowscy policjanci wywlekli z łóżka w sobotę nad ranem: „Ledwo zdołałem się ubrać. Krzyczeli na mnie i złościли się, dlaczego to tak długo trwa, a na koniec wzięli mnie pod rękę i wyciągnęli z mieszkania na podwórze. Byłem pierwszy, wkrótce jednak zaczęto ze wszystkich stron przyprowadzać takie jak ja ofiary”. Kilkanaście godzin później Limonad (Zimonad) szedł ulicą Leszno: „Nagle rozległy się przejmujące grozą wrzaski: «Łapią na roboty». To nic specjalnego, to u nas codzienność. Nim zdołałem się obejrzeć, podchodzi do mnie policjant, chwyta mnie za kołnierz i powiada – «Proszę za mną do auta». Równolegle trwała obława na Nalewki 27. „Silny ruch i harmider na podwórzu. Patrząc i widząc, że całe jest otoczone przez liczne grupy policjantów – pisał o przebiegu akcji w ten dzień jeden z mieszkańców budynku – Od razu pomyślałem, że nas mają na myśli... Obława na młodych ludzi do obozu”. Bez powodzenia szukał schronienia na strychu: „Zastałem [tam] kilku kolegów, którzy wpadli na ten sam pomysł. Leżymy tak godzinę, dwie, bez ruchu, sprasowani, słysząc tylko uderzenia przerażonych serc – relacjonował dalej – Nagle otwierają się drzwi, wpada pół tuzina żydowskich policjantów i dwóch polskich i «zapraszają nas». Inną próbą zachowania

wolności miał być sposób „na dziecko”. M.(?) Landau, pracownik Judenratu powiązany z „Oneg Szabat”, widział wśród schwytanych ojca z dzieckiem w ramionach. „Na moje pytanie odpowiedział, że nie miał gdzie zostawić dziecka. Urzędnicy Kahału z drugiej strony powiedzieli, że jest to sposób na uwolnienie się od obozu”.

Nie wszyscy młodzi Żydzi tego dnia za wiek tracili wolność. Niektórzy za sprawą dobrych kryjówek zdołali przetrwać kwietniową nagonkę. Nieznany z nazwiska autor opracowania „Dzień i noc w «Collegium»” pisał o swoich sąsiadach z Gęziej: „Niektórzy uciekli przez dachy do sąsiednich domów, kilku ukryło się szczęśliwie w piwnicach i strychach, innym udało się schronić w mieszkaniach, jeden z sąsiadów kazał zaścielić się w łóżku, na którym żona rozłożyła pieluchy i przewijała niemowlę. Inny ukrył się w pace pod warstwą węgla, z której wylazł potem czarny jak kominiarz, ale szczęśliwy. Jeszcze inny znalazł schronienie na balkonie, drzwi do którego zdołali domownicy zamaskować zręcznie kredensem i szmatami”. Zdarzały się przypadki, gdy schwytanym wolność obiecywali żydowscy policjanci. Młody chłopak z Karmelickiej nocą miał usłyszeć taką propozycję. Padły słowa: „Jesteś młody, masz przed sobą przyszłość. Obóz to nic dobrego. Łatwo go unikniesz. W tym domu ukrywają się ludzie z kartkami. Wskaż tylko, gdzie się schowali, a będziesz wolny”. Policjanta spotkał zawód: „Coś mnie poderwało i gdyby mój rozmówca nie cofnął się w porę, zdzieliłbym go w zęby”.

## Funkcjonariusz Żydowskiej Służby Porządkowej na ulicy Bonifraterskiej w getcie warszawskim (MGW)



Najczęściej jednak argumentem najmocniejszym, bo przemawiającym do ludzi gorliwie zaangażowanych w łapanki, były łapówki. Amos Freund mówił, że była to forma „wylegitymowania się odnośnymi biletami Banku Emisyjnego”. Stawki były różne ponieważ w „transakcjach” często prócz żydowskich policjantów uczestniczyli także ludzie z podległego Judenratowi Wydziału Pracy. W relacjach z tego okresu najczęściej mowa o kwotach od 100 do 300 złotych. Im jednak złapanym było bliżej do „Collegium” tym cena wolności była wyższa, a „targi” o nią zaczynały się od 300 złotych wzwyż. „Przyglądając się uważnie twarzom cieni uchodźców z prowincji, moje wielkie zdziwienie wywołał fakt, że nie widać ani jednej nażartej fizjonomii warszawiaka? – pisał autor relacji pt. „Przeżycia, wydarzenia i epizody w obozie pracy przymusowej w Drewnicy” – Na tak wielkim podwórzu jak Nalewki 27, gdzie zwykle beczynnienie kręci się kilkaset sytych, nażartych, wypoczętych młodych ludzi, teraz przepadli oni jak kamień w wodę. Jak się dowiadujemy, jest to tajemnica żydowskiej policji”.

Bohaterów relacjonujących przebieg akcji nie stać było na wykupienie wolności, dlatego musieli się poddać woli władzy. Pochód ludzi z Karmelickiej ruszył po północy. „Do każdej pary przydzielono po 2 policjantów, prócz tego wielu ich szło luzem, tak że o ucieczce nie było mowy. «Naprzód» – rozkazuje starszy rangą porządkowy. Pochód rusza. Ulice puste, toteż o uśpione

domy obija się gwar i tupot smutnego pochodu". Próg „Collegium” przekroczyli po godzinnym przemarszu: „W powietrzu unosił się charakterystyczny kwaśny zapach, przytłaczająca atmosfera więzienia”. To pobudzało świadomość. Przechodzili do innej rzeczywistości: „Jeżeli dotąd ktoś z nas nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo beznadziejna jest nasza sytuacja, to tu, pośród tych więziennych murów, musiał to pojąć. Zaraz też wszystkie plecy zgarbiły się bardziej, a twarze jak gdyby poszarzały. We wszystkich oczach malowało się przygnębienie”.

Hol na parterze w tym po-szkolnym gmachu był jak wielki magazyn z paczkami dla czekających na wywózkę Żydów. Poza tym były pomieszczenia dla ludzi z Judenratu. Mężczyzna z Nalewek był w tam czasie gdy ruszyła machina administracyjna: „Rano w sztabie, gdzie setki urzędników – szum, harmider, hałas, zaaferowanie. Wygląda to jak wesele bogaczy w małym miasteczku, gdzie wszyscy są kumplami. Co sekundę ktoś biegnie z paczką papierów w ręce, jeden do pokoju, drugi z pokoju, czasem zderzają się dwaj urzędnicy i rozbijają sobie nosy... Taka ciężka praca to nie drobnostka!”. Klatka schodowa na kolejnych piętrach zamknięta była żelazną kratą, przy której straż pełnili jeden polski i dwóch żydowskich policjantów, oraz jeden strażnik cywilny spośród urzędników Wydziału Pracy. Na każdym piętrze znajdowały się wielkie sale, do których wejść strzegli kolejni policjanci. Tylko okna mogły uchodzić za symbol wolności: nie zakratowane, umożliwiały (niekiedy) kontakt z najbliższymi, którzy gromadzili się przed gmachem. Nieliczni próbowali zamienić symbol w rzeczywistość. Jak w niedzielę, 20 kwietnia 1941 r.: „Dwóch młodych chłopaków skoczyło na mur i pobiegło, chwiejąc się, po jego posypanym tłuczonym szkłem wierzchu. Nie zorientowali się, że muszą natychmiast zejść z muru. W tej chwili huknęły strzały. Jeden z zachwiał się i poleciał w dół, na aryjską stronę. Drugi przerażony do najwyższego stopnia przywarł do muru i wyglądał jakby również nie żył”.

## Funkcjonariusze Żydowskiej Służby Porządkowej w getcie warszawskim (MGW)



W drugiej połowie kwietnia 1941 r. „Collegium” funkcjonowało jak poczekalnia na dworcu kolejowym. Bez przerwy przetaczały się przez ludzkie masy. „Wprowadzono nas do pustego dużego pokoju – wspominał jeden z uwięzionych – Niedługo jednak dane nam było cieszyć się przestrzenią: po chwili wprowadzono do nas grupę kilkudziesięciu osób, po dalszej chwili – jeszcze kilkadziesiąt osób, a po kwadransie już było w pokoju nie mniej niż 200 ludzi”. Duże pomieszczenia zamieniało się w ciasną celę: „[Mężczyźni] stłoczeni, wygniecieni, podpierali ściany, lub siedzieli plackiem na brudnej podłodze. W pokoju unosił się gęstą chmurą dym papierosów, ludzie, zdenerwowani w najwyższym stopniu, płakali, lamentowali, przeklinali głośno, kłócili się i bili o lada drobnostkę”. Wszystko co wnieśli do budynku, nosili przy sobie ze strachu przed kradzieżą.

W tym skupisku jak w soczewce najlepiej było widać skalę kontrastów w ludzkiej masie umieszczonej wówczas w „Collegium”: różnice pomiędzy Żydami warszawskimi a przesiedleńcami, posiadaczami „karty pracy”, dążącymi wrócić do gettovej „normalności” a bezrobotnymi, którzy otrzymali wezwania, i uważali, że nieważne „na jaki obóz jadą, byleby żarcie było, jak na «fajnych» zesłorocznych «pensjonatach pracy»”. Wśród uwięzionych nie zabrakło zakładników: „W jednym domu, gdzie mieszkali dwaj synowie i jeden był chory, powołany do

obozu został ten zdrowy. Ukrył się on jednak i w tym przypadku zabrano chorego jako zakładnika – pisał dla „Oneg Szabat” M.(?) Landau w opracowaniu „Punkt etapowy dla obozowiczów” – [W innym] powołani pochowali się u sąsiadów i na ich miejsce zabrano biednego, który u nich nocował. Również on został zabrany jako zakładnik, chociaż był chory”. Najlichniesza była biedota z punktów dla przesiedleńców: „Przyszli prawie nadzy, obdarci, obszarpani. [Ludzie] bez butów, bez czapek, bez bielizny, złapani w łapankach robili wstrząsające wrażenie. Wielu miało podrapane twarze, od wrywania się z rąk policjantów”. Nie brakowało żebraków: „Oblegali każdego wchodzącego, łapali za ręce: wyli i krzyczeli prosząc o kawałek chleba”. Uzupełnienie obrazu stanowili ciężko chorzy: o kulach, garbaci, niewidomi, głusi i obłąkani. Świadek o tym pisał: „W kącie rozsiadł się jakiś obłąkany, który z początku śpiewał jakąś pozbawioną sensu pieśń, potem zaczął dziko, monotonicznie, zwierzęco, wyc, przechodząc czasem w histeryczny śmiech, a czasem rozdzierający szloch. Sąsiedzi wariata, nie mogąc wytrzymać tego krzyku, tłukli go niemiłosiernie pięściami. Reszta zabawia się kosztem dwóch głuchoniemych (z opaskami rozpoznawczymi na rękach)”.

Niezalenie od tych różnic, wśród wszystkich uwięzionych w „Collegium”, panował nastrój rozpacz i zrezygnowania. Dodatkowo obawy i strach uzasadniał widok kilkudziesięciu niedobitków z obozu pracy, którzy tymczasowo zostali umieszczeni w tym samym budynku. Ich ciała były „okryte cuchnącymi łachmanami i popuchnięte” – wspominał jeden ze świadków – Na przemian żebrali i [opowiadali] potworne szczegóły masowych mordów i sadystycznych tortur. Pogrążyły mnie one w otchłań najczarniejszej rozpacz”. W ciasnocie i brudzie musiał czekać.

## Leszno 84 (Referat Gabarytów)





Pomimo, że w drugiej połowie kwietnia 1941 r. wszystkie „procedury” – rejestracja, tzw. badania lekarskie, strzyżenie i „parówka” (tak nazywano łaźnię) – były raczej pozorne, to i tak przejście wszystkiego trwało wiele godzin. Zapewne dlatego, że w przeciągu dwóch tygodni poddanych im zostało wiele tysięcy osób. Fizyczną sprawność ludzi, z którymi do „Collegium” dotarł Limonad (Zimonad), badał – siłą sprowadzony z ulicy – ginekolog: „Można sobie łatwo wyobrazić, jakie to było badanie”. Po wielu godzinach oczekiwania, przed „komisją lekarską” stawili się ludzie z Nalewek. Skarżyli się, że wyniki „badań” lekarze znali jeszcze nim przed nimi stanęli. Wielu ludzi symulowało chorobę. „Widziałem jak jeden z mężczyzn onanizował się celem symulowania rzeżączki, inni po prostu skarżyli się na ślepą kiszkę czy też inną niesprawdzalną chorobę – pisał człowiek z Gęsiej – Gdzie niezdolność nie była zupełnie oczywista, tam wyrok brzmiał: zdolny”. Jako że sam autor należał do „skazanych”, sam przez wszystkie „procedury”: „[Potem] ostrzyżono mnie brudną maszynką «na zero» i za chwilę stałem już nago w asyście jeszcze 24 nieszczęśników pod letnim prysznicem, z którego kapła leniwym ciurkiem woda. Mydła nie było: tzw. dezynfekcja okazała się czystą fikcją”. Traktowani przedmiotowo, po dniu pełnym przemocy i upokorzeń, głodni więźniowie kierowani byli na kwarantannę do budynku sąsiadującego z „Collegium”.

Na kwarantannie pozostawało im już tylko czekać na chwilę, gdy przejmą ich polscy policjanci i strażnicy obozowi. Tylko jeszcze na Lesznie 84 ostatnią rolę musieli odegrać żydowscy policjanci.

Tak jak 20 kwietnia rano: „Zagnali złapanych Żydów na plac koło kwarantanny, bijąc przy tym tych, którzy nie zdołali prędko stawić się na „zbiórkę” na wymarsz – pisał Rabin Chitowski – Tam polski policjant zwrócił się do żydowskich policjantów: «Jak zaraz nie dostarczycie kolejnych 20 Żydów, mam rozkaz od razu posłać was do obozu». Ludzie z ŻSP szybko rozkaz wykonali: „Zaszedli na kwarantannę i przyprowadzili jeszcze 20 Żydów, których w międzyczasie złapano. W ten sposób zrobił się komplet złożony z 200 ludzi”.

„Skompletowani” Żydzi ruszyli w stronę „aryjskiej dzielnicy”, gdy w tym samym czasie wyżsi funkcjonariusze żydowskiej policji byli w drodze do „Collegium”. Zmierzali, by „stwierdzić plon połowu nocnego”. Nocą obchodzili podwójne święto: porozumienie z paskarzami i szmuglerami z jednej strony, i pierwszą wielką akcją policyjną z drugiej. „Pewien zgrzyt popsuł nieco te wspaniałą zabawę – pisał Amas Freund w reportażu „Współczesne opowieści Hoffmana” o postępującej w ŻSP demoralizacji – Nad ranem patrol niemiecki zatrzymał karawan riksz, któremu przodował niezupełnie trzeźwy płk. Szeryński w towarzystwie damy. Pan płk. tłumaczył się, że wraca z inspekcji akcji obozowej”. Związek ze światem szmuglerskim był nieoficjalny (choć wszyscy w getcie o nim wiedzieli), więc oficjalnie dowództwu ŻSP pozostało samemu sobie pogratulować, a Judenratowi zraportować o spełnieniu misji. W zamian najbardziej gorliwym (za takiego uchodził m.in. wiceszef ŻSP, Jakub Lejkin) Judenrat przyznał pieniężne nagrody.

Mieszkańcy getta bardzo krytycznie oceniali decyzje Judenratu i policyjne łapanki. Głosem ulicy były słowa Ringelbluma w „Kronice”: „Były to wstrętne dni, które naznaczyły Gminę piętnem hańby”. I słowa bezimiennego autora wspomnień „Sześć tygodni w obozie pracy przymusowej”: „Jeden z najczarniejszych i najbardziej krwawych rozdziałów życia Żydów napisali żydowscy policjanci”. Przede wszystkim jednak tych, którzy pod koniec drugiej dekady kwietnia 1941 r. zostali zapędzeni do „domu wariatów”. Rabin Chitowski został wywieziony na prace przymusowe do Kampinosa, mężczyzna z Nalewek do Drewnicy, a ten z Karmelickiej – do Łęk pod Siedlcami. Dwóch – A.(?) Limonad (Zimonad) oraz chłopak z Gęsiej – uniknęło zsyłki dzięki pomocy przyjaciół z Judenratu, którzy wyciągnęli ich z więziennej masy i na kilka godzin „zatrudnili” w „Collegium”. Nie wiadomo tylko gdzie zesłano autora „Sześciu tygodni...”. Wszyscy „dom wariatów” poznali 19-21 kwietnia 1941 r. Zostawili świadectwo...

---

**Autor:** dr Paweł Wieczorek  
**Data publikacji:** 2022-09-26  
**Data wydruku:** 2023-02-08 09:51  
**Źródło:** <https://1943.pl/arttykul/dom-wariatow/>